

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[43]



## GAWĘDA STAREGO NAPOLEOŃSKIEGO WIARUSA.

Roku 1808 wkroczyliśmy do Hiszpanii. A to dla tego, że cesarz jednego poranka, położywszy się do swemu na wielkiej, kosztownej swojej mapie, na stole, i szpilkami na niej znacząc stanowiska armij swych w Europie, tak sobie pomyślał: „Co ja się tu będę bawił w środku Europy, a tymczasem Anglik, ten kupiec, kmotr Hiszpana, pokumany z nim dla wspólnego interesu, zajdzie mi z tyłu przez Pireneje: nie głupim! trzeba się zabezpieczyć na półwyspie za Pirenejami!“ Tak pomyślał cesarz, i zaraz wkroczyliśmy do Hiszpanii.

Śliczny kraj, do stu kartaczy! ależ ludzie zajadli! niech ich lichorowie! zdaje się, że gdy nogą stąpisz, ręką ruszysz, odetchniesz, to już ci w zasadzkę wpadniesz, tak tam wszystko, małe czy duże, słabe czy silne, wściekle broniło nam przystępu. Już ci wspomniawszy, że to oni swojej ziemi bronią, wypadło jeno czoła przed nimi uchylić, ale czemuż nie chcieli oni zrozumieć, że cesarz

pracował właśnie dla nich, dla dobra ludów \*); gdyby oni byli to zrozumieli, toby się byli nie bronili, ale owszem od razu do cesarza przystali, a onby wszystkich, najprzód pod swoją władzę chwyciwszy i od innych władz uwolniwszy, potem i od swojej uwolnił, i pozwolił każdemu ludowi własnym rządzić się prawem. *Cz* daj Boże, amen.

Ale że oni tego jakoś nie rozumieli, więc okrutnie utrudniali nam za-

danie. Obok nich zaś, mieliśmy do czynienia przecież i z regularnym wojskiem, jak wypadła. Więc ledwośmy wkroczyli między one tam pachnące a woniąjące gaje, pomarańcze, cytryny, mirty, warzyny, granaty, co tam są takie drzewa pospolite, jak sosna u nas, już ci zastępuje nam drogę on tam dzielny korpus Estremadury. Tedy na ranym przeglądzie rzeknie cesarz:

— Héj! mości *Soult*, idź no tam, *mon general*, z drugim korpusem, a *faites-moi place*, zrób mi miejsce, uprzątnij was on tę przeszkodę.

Więc my, drugi korpus, powiadamy na to: *Vivat!* niech żyje ce-

\* Takie było głębokie przekonanie starych wiarusów Napoleona I i tém ich cześć i miłość dlań się tłumaczy.



patrzmy, aż tu wieśniaczka... (str. 675).

sarz! i idziemy. Dnia 10 Listopada marszałek Soult poruszył dywizją Lobau i z bagnetem w rękę, za pierwszym natarciem złamaliśmy szeregi walecznych co prawda Hiszpanów i razem z pierzchającymi, na ich karkach wdarliśmy się w bramy warowni *Burgos*. Potém kiedy cesarz 16 Listopada zajmował Santander, gdzie obfite zapasy broni i innych potrzeb wojennych znalazł, Anglicy tymczasem pod wodzą generała *Moor*a wylądowali w Korunie i złączywszy się z Hiszpanami, posuwali się chytrze naprzód, dla zajęcia tyłu armii francuzkiej. Więć na rannym przeglądzie powiada cesarz:

— Héj! mości Soult! ja tam idę przeciw temu *Moorowi* prosto, a wason zajdź mu ze swoim korpusem z boku.

Więć my poszli, a wtém przypada nowy rozkaz, a w nim tak stoi:

— Héj! mości Soult! ważniejsze sprawy wołają mię do Paryża, tedy goń ty ze swoim korpusem sam tego *Moor*a, który się cofa, a już ja każę *Ne-yowi*, aby cię poparł.

Jak kazano, tak się stało. Jakeśmy przycisnęli onego *Moor*a, to ledwo uciekł, porzuciwszy całą artylerją i wszystkich jeńców. A i tak jeszcześmy go doścignęli pod samą już Koruną, nad morzem. A no, co prawda to prawda, dzielny był człowiek, bo jakeśmy go nacisnęli tuż nad morzem, to prawdziwie jak mur stał, aż padł, a dopiero niedobitki ratowały się ucieczką na okręty. Świetne to zwycięstwo odnieśliśmy 16 Stycznia 1809 roku, a w cztery dni później zajęliśmy i twierdzę przez kapitulacją. Potém wzięliśmy szturmem *Oporto* 29 Marca 1809 roku.

A no, dotąd wszystko było pięknie, ale co się od owęj chwili u nas stało, tego do stu kartaczy chyba i lichu nawet nie pojmie. Bośmy nie wiedzieli czemu tracili i tracili czas dopóty, aż pozwoliliśmy z kolei nacisnąć się okrutnie i zmusić do odwrotu. Tymczasem Wellington \*) w porozumieniu z juntą Kadykską \*\*) na czele sześciudzięsięciu tysięcy, śpieszył już do Madrytu.

Co to była za przyczyna na prawdę, dla której my tak długo czas w *Oporto* marnowali, tego już ja nie wiem. Tyle wiem tylko, że rozporządzenia generała Soult'a w *Oporto* mądre były, i do uspokojenia wzburzonych mieszkańców zmierzały. A otóż właśnie dla tego zaraz gadać zaczęto, że książę Dalmacyi, to jest generał Soult, zjednywa sobie Portugalczyków, bo zamyśla po koronę portugalską się pokwapić. Nie wiem ja, co o tém myśleć; generał zawsze tak patrzył, jakby mu na dwoje babka w duszy wróżyła, jakoś niejasno, nie

stanowczo, nieszczerze. W onych też czasach korony trzęsły się w Europie a spadały, do stu kartaczy, niby te dojrzałe jabłka z jabłoni, gdy chłopak swawolnik nią wstrząśnie. Podnosił owe jabłka i brał sobie, komu cesarz podnieść a wziąć pozwolił i kto mógł; to kto tam wie, czy i nasz generał o portugalskiem takim jabłku nie pomyślał.

Ale tę jedną rzecz ja dobrze wiem, że tego się generał sprawiał podczas tego odwrotu z *Oporto*; głową, jak najdzielniejszy i zręczny wódz, a i rekoma nieraz jak prosty żołnierz pracując; no, i to już przecież cały świat wie, który o tych rzeczach słyszał, że jeżeli korpus nasz w owym odwoście ocalał a nie przepadł z kretesem, to jedynie swemu wodzowi zawdzięczał.

Ciężko było bo ciężko w tój przeprawie, do stu kartaczy! Bo to iść przyszło przez zakąt kraju taki dziki, a zarosły, jakby tam od początku świata stopa ludzka nie powstała, a tymczasem niele dwie z pod każdego liścia czy skały godzi na cię kulka lub sztylet; a skalistych gór, wąwozów, załamów tam mnóstwo, ale na czém nogę postawisz, choć się zda odwiecznym, to ci się przecież z pod nogi usunie i lecisz w przepaść, kędyś tam na urwiska skaliste. Gdzie cień, to o trzy kroki przed sobą nie widzisz, bo tu straszliwy niby wał z aloesów i różnych potwornych kaktusów wyrasta, a tam cały gaj z granatów oczy ci tumani, a ówdzie cytryny i pomarańcze i mirty białym obsypane kwiatem, aż ci głowę zawracają wonią przejmującą, a wszystko to ze sobą takie poplątane, że ani rusz w gęstwinie takięj, chyba drogę sobie siekierą rąb! Kaktusy szczególniej, te płoty czy wały ich kolczate, niby gwóźdźmi zewsząd najeżone, a grube, a ogromne, a spletane to, do stu kartaczy, gorsze od niejednego naprawdę obronnego wału!

Tak bywało, gdzie cień, ale zaledwieś na otwarsze miejsce wyszedł, to jeszcze gorzej, bo spieka, jakby cię kto zarzewiem piekł, wody brak, żywności brak, a zawsze, i w cieniu i w spiecu, w każdej szczelinie, w lada mysięj norze, nieprzyjacieli czyha! A już niechby broń Boże kto osłabłszy odłączył się od korpusu, to już nie było co się za nim oglądać, bo jedno wprawne pchnięcie sztyletu załatwiało się z nim od razu; zdawało się, że te sztylety wyrastały naokół wraz z trawą.

Tfy, do stu kartaczy! obrzydliwe, zdradzieckie, rozbójnicze to, paskudne narzędzie. Kulka huknie, lanca sztuknie, szabla brzęknie, a sztylet zdradziecki nie! tylko wsunie ci się w serce cicho, jak gadzina i już po tobie. Żeby tam naszego pana brata szlachcica nie wiedzieć jak do sztyletu nakładać, to już ja ręczę, żeby się żaden nie nałożył; bo nie szlachecka to broń, tylko zbójcka. A ludzie

\*) Dzielny wódz angielski.

\*\*) Forteca Kadyks nad morzem.

ludzie zajadli też, jak gadziny; hm, co prawda bronili oni swęj ziemi...

Straszna była to więc przeprawa, ale już najstraszniej było, gdyśmy między Basków weszli. Baskowie szeroko siedzą po obu stronach Pirenejów, jest tego chmara, pono coś koło 850.000, i na oko śliczny to lud. Wzrostem słuszni, oczy jak żarzące węgle. Wlokę ja się tam z innymi, i dawnobym ustał, gdybym nie wiedział, że ustać to zginąć; każdy to wiedział, i każdy pilnował się mądrych wodza rozkazów, ale człowiek był głodny i spragniony, a na okół dziki kraj skalisty, ani owocu nawet niema.

A wtém coś się przesunie pomiędzy skałami, giętko a zgrabnie, jak kot: patrzmy co, a to wieśniaczka z tego ludu Basków. Wysmukła i hoża, jak młoda topola, wcale nie ciemnej twarzy, jak Hiszpanki, przeciwnie, krew z mlekiem, włosy długie, czarne, wiją się po ramionach, oczy czarne błyszczą, jak we łzach, a może i płakała, boć różnie człowiek przecież z mieszkańcami wychodził, gdy głodny był, a jeść dać w napotykanym wioskach nie chciano, bo tam wiecznie nic niema i niema. Wieśniaczka owa, jak to one, cała aż się mieniła od jaskrawego odzienia: miała spodniczkę ciemną, krótką, na niej drugą jasno niebieską, podniesioną i popodpinaną zgrabnie, staniczek czarny, taki z przodu sznurowany, co to się *baskina* nazywa, a na głowie niby kaptur, niby ich to owę *mantylę* leciuchno miała z tyłu narzuconą, a było to z jaskrawej jakiejś wełnianej materyi, i też ponsową jedwabną materyą w koło obszyte. Na głowie niosła ona wysokie i duże, starożytnych kształtów naczynie, pełne mleka czy wody; takich naczyń między wieśniakami tam pełno.

— Stój! — wołamy — daj pić i idź sobie wolno.

Ona się broni, ale żołnierz jak żołnierz, zwłaszcza gdy głodny, lub spragniony, chwytamy naczynie, patrzę ja, a to woda; ale świeża woda niktar to był w owej okolicy, gdzieśmy źródła nie znali, więc wołam ja:

— Napij się, niewiasto, tój wody z dzbana, nim my będziemy pili, boś może umyślnie nam się nasunęła, żeby nas potruć.

I nalałem tój wody w manierkę, żeby widzieć, czy na prawdę owa kobieta wypije, i ile, bośmy to już obeznani byli z ich podejściami. Kobieta, milcząc dumnie, jak to oni, wypila co kazałem i siadła na odłomie skały, wyprostowana, jak posąg, a na naczynie swe czekając; tylko na twarz róg mantyli sobie narzuciła, żebyśmy nie patrzyli na nią, a ręce na kolanach splotła. Tedy ja pierwszy chwyciłem naczynie owo, aby się napić, bom

już pewien był, że nie zatrute, ale jak koledzy słabsi zaczęli prosić: „A mnie! a mnie!!!“ takem im oddał onę wodę, bo nie jeden tam już omdlewał, a jam był wytrwalszy.

Aliści ledwo patrzę, jak pije szósty z kolei, a juźci pierwszy, który się napił, wije się pod działaniem piekielnej jakiejś trutki.

— Stój! — krzyknę ja na innych. Który trzymał wodę przy ustach, ciska ją, ale kto skosztował, przepadł. I rzucam się do onęj niewiasty, zdzieram mantylę, a kobieta już martwa, i twarz sina, i usta sine uśmiechają się po piekielnemu, że się pomściła na nieprzyjaciołach. Mantylą twarz zakryła, żebyśmy nie widzieli, jek się ta twarz w boleściach mieniła; a zresztą aui drgnęła, ręce tylko na kolanach zacisnąwszy.

Pięciu kolegów zginęło wtedy przez tę jedną czarownicę, a ja, wstając z ziemi, gdzieś nad ostatnim ukląkł, czuję nagle niby jakieś ciepło w lewym boku; spojrzę, a tu krew leje mi się ciurkiem z boku, a dziewczucha mała baskijska przemyka się między skałami ze sztyletem w ręce, może córka tamtęj niewiasty. Dwaj towarzysze rozjątrzeni rzucają się za nią zapalczywie, a wtém odłam skały pada na jednego z nich i strąca go w przepaść, a on spadając drugiego strąca wraz z sobą. Spojrzę ja tam, zkad wypadł ów kamień, a tam stoi Baskijczyk w białej kamizeli z czerwonym szerokim jedwabnym pasem, o długich z boku końcach, w krótkich ciemnych spodniach, z kurtką czerwoną zarzuconą na jedno ramię, w niebieskiej na czarnych włosach czapeczce.

Długo mi ten Baskijczyk tak stał na oczach, i niewiele brakło, żebyśmy już nic nigdy więcej nie ujrzali, bom omdlał w owej chwili i zginąłbym był z pewnością, gdyby nie wódz, który dbał o rannych, jak mało który dbać umiał generał.

Tacy to są ci Baskowie. Mają oni być potomkami *Iberów*, pierwotnych *Iberyi*, to jest Hiszpanii mieszkańców, którzy byli kolejno napadani przez Kartagińczyków, Rzymian, Wizygotów, Saracenów itd. aż pod naciskiem przemocy schronili się w swoje dzisiejsze skaliste siedziby i w nich zaparli, jak w twierdzy. Oni to wedle tradycyi niegdys zniweczyli armią Karola Wielkiego w sławnej dolinie Ronceveaux. Pomiedzy nimi to, wśród gór ich skalistych, zachowała się narodowość i niepodległość hiszpańska, schroniwszy się tam przed przemocą Maurów, i z pośród tych to skał wyszła ostatecznie potęga, która Maurów pokonała po długiej, zapalczywej walce.

## KASIA DORADZCĄ.

D Y A L O G.

OSOBY.

EWA }  
 IRENA } Wnuczki pani Solskiej.  
 EMILKA }  
 KASIA } tejeż wychowanica.

(Rzecz dzieje się na wsi, we dworze pani Solskiej. Scena przedstawia wnętrze pokoju. Przy stole z prawej strony siedzą Ewa z Ireną i przeglądają stronicę zapisanych zeszytów; Emilka chodzi po pokoju, wywijając zwitkiem papierów. Kasiu ze ściereczką i miotełką chodzi z miejsca na miejsce, opylając z kolei i przestawiając sprzęty).

IRENA (płaczliwie).

Arkusz francuskiej prozy, to na mnie za wiele!...

EMILKA (żartobliwie).

Masz całe pięć tygodni, gdy dodasz niedziele...

IRENA (z wymówką).

Żartuj!...

EMILKA (stając przy siostrze).

Mój los nie lepszy, sto niemieckich wierszy!...

EWA.

Dobrzeście z narzekaniem!... Toż ja po raz pierw-  
[szy

Mam paplać po angielsku to powinszowanie.

EMILKA (żartobliwie).

Szczególniej ci babunia będzie wdzięczna za nie,  
Gdy słówka nie zrozumie!...

EWA.

To nie moja wina!

EMILKA (ironicznie. Irena znów przegląda zeszyt).

Cudzoziemszczyzna w pełni rozkwitać zaczyna,  
Pod światłem przewodnictwem panny Salomei.

IRENA (coraz płaczliwiej).

Chciałabym się nauczyć, lecz nie mam nadziei...  
To jest za trudne dla mnie... ja nie mam zdolno-  
ści!...

EMILKA (j. w.)

Powiedz jej to!... Ze szczytu swój wyższej mądro-  
[ściW czterech ci aż językach kazanie wypali,  
Że świata nie dźwigają zdolni, lecz wytrwali!...

IRENA (chwytając się oburącz za głowę).

Ah! ona taka mądra!...

EMILKA (j. w.)

Strasznie przemądrzała!...  
(z oburzeniem).Wczoraj w czterech językach głupią mię nazwała;  
Jeśli zdwojona mądrość ma zdwajać potwarze?...

EWA (poważnie).

Musisz jej być posłuszną, skoro ojciec każe;  
(słodko).Boż dla jego miłości, każda z was to przyzna,  
Miłą nam być gotowa nawet i chińszczyzna!

EMILKA (z uczuciem).

Prawda!...

IRENA (podobnież).

Oh! święta prawda!

EMILKA (uderzając w swój zeszyt).

A więc... w imię Boże!...

IRENA (napół z płaczem).

Czy tylko się nauczę?!...

EMILKA.

Ewa ci pomoże.

EWA.

A teraz, drogie siostry, niech każda wybierze  
Robótkę, którą babci ma złożyć w ofierze,  
Ja napiszę do ojca, żeby dał pieniędzy!...

EMILKA (przerywając).

Stryjence, bo ta wszystko załatwia najprędzej!

IRENA (z zadowoleniem).

Wyhaftuję pantofle!...

EMILKA (żartobliwie).

Są trzy pary nowe,

IRENA (j. w.).

Profitki?...

EMILKA (j. w.).

Sześć ich tylko!...

EWA.

Chusteczkę na głowę?

EMILKA (j. w.).

Ma je w czterech kolorach.

EWA.

Patarafki z włóczki?...

EMILKA (j. w.).

Cztery, śliczne, pąsowe, dały tamte wnuczki!...  
(z komiczną rozpazą).Gdzie jest dzieci i wnuków całe dwa tuziny,  
Wymyślił co nowego na te imienny!...

IRENA.

Koszyk?...

EMILKA (niecierpliwie).

Robi Belunia!

EWA.

Torbę?...

EMILKA (j. w.).

Da Leosia!

IRENA.

A to może dywanik?...

EMILKA (*j. w.*).

Wyszywa go Zosia!...

EWA (*po namyśle*).

Tych naszych podarunków babcia ma do zbytku,  
Lecz przyznajmy, że wcale nie ma z nich pożytku.

EMILKA (*żartobliwie*).

I choć za nie babunia dziękuje tak czule,  
Rozmnażają w jej domu niepotrzebne móle.

IRENA (*tyńczone tonem*).

Ceniąc babcia zarówno wszystkie nasze dary,  
Zapakowała niemi cały kredens stary!..

EMILKA (*podobnie*).

Wszystkie półki zajęte!...

EWA (*po namyśle*).

Okryjmy się chwałą,

I zróbmy coś takiego, co by się przydało.

(*wszystkie się zamysłają*).

IRENA (*placźliwie*).

My bez rady babuni nie zdołamy same

Nic mądrego wymyślić!...

EWA (*z uczuciem*).

Ona jedna mamę

Zastąpić dla nas może!

EMILKA (*podobnie*).

Tak podobna do niej!...

IRENA (*j. w.*).

Każdą z nas do swęj woli odrazu nakłoni.

EWA (*j. w.*).

Bo przezorną mądrością zaufanie budzi.

IRENA (*j. w.*).

Dobrocią zaś zdobywa serca wszystkich ludzi!

EMILKA (*z uwiesienien*).

Co za szczęście, że ojciec powierza nas pieczy

Tęj najdroższej babuni!...

EWA (*poważnie*).

Lecz wróćmy do rzeczy.

Cóż zrobimy?

IRENA (*rozwolekcie*).

Co-by-to?

EMILKA.

Co?... (*myśli*).

(*po chwili, uderzając się w czoło*).

Rada gotowa!

(*do sióstr*).

Toż Kasia od lat pięciu przy babci się chowa,

Znać więc musi jej gusta wszystkie — doskonale!

(*Biegnie w głąb i pochwytywszy wzdragającą się Kasię, wyprowadza ją naprzód sceny. Kasia stoi we środku, Emilka z lewej strony, Ewa z Ireną stoją z prawej strony*).

Radź nam, Kasiu.

EWA z IRENĄ (*z prośbą*).

Radź, Kasiu!

KASIA (*nieśmiało*).

Ale...

EMILKA (*stawowczo*).

Niema ale!

EWA z IRENĄ (*j. w.*).

Kasieńko!...

KASIA (*j. w.*).

Nie wiem... nie wiem...

EMILKA (*żywo*).

Wzdragasz się daremnie!

EWA z IRENĄ (*tagodnie*).

Kasieńko!

KASIA (*śmieliej*).

Toż panienki mądrzejsze odemnie.

EMILKA (*żywo ale z uczuciem*).

Dajmy pokój mądrości, tu serce rzecz główna!

(*Zwracając się żywo do Kasi*).

Kochasz babcię?...

KASIA (*z uwiesienien*).

Ach! kocham!

EMILKA (*z prostotą*).

Więceś z nami równa.

KASIA (*składając ręce*).

Bóg widzi, że najchętniej umarłabym za nią!

EWA, IRENA i EMILKA (*zdumione*).

Umarła?!!

(*Chwila milczenia*).

EMILKA (*zwracając się z ciekawością do Kasi*).

Powiedz, za co tak kochasz swą panią?

KASIA.

Owszem!

(*opowiada z prostotą*).

Było nas w chacie u rodziców troje:

Dziesięcioletnia Zośka i nas bliźniąt dwoje  
Pięciolatek, gdy tatuś, cieśla z powołania,  
Zabity został belką, spadł z rusztowania.  
Pani pierwsza przybiegła z pomocą do chatki,  
Lecz matuś nie przyjęli nic, mówiąc: „Te dziatki  
„Nie odbiorą uboższym jałmużnego chleba,  
„Potrafię je wyżywić przy pomocy Nieba“.  
Podobała się pani ta duma uczciwa.  
Odtąd nigdy matuchnie nie brakło przędziwa,  
Roboty przy ogrodzie, albo też we dworze  
I tak zbiegło trzy lata. Raz, w jesiennęj porze,  
Po kopaniu kartofli, cios nas dotknął srogi:  
Ciężka niemoc odjęła matce obie nogi!..  
W nieszczęściu to biedaczkę bolało najgorzej,  
Że z dziećmi liczbę wiejskich żebraków pomnoży!..  
Ale opiekun anioł wniósł pod naszą strzechę,  
Nie miłosierny datek, lecz mądrą pociechę:  
Pani sklep założyła pod matuchny strażą!..  
Odtąd zdrowe jej ręce mierzą, liczą, ważą,  
Zarabiając na życie. Zośka przy niej w chacie.

Józiek uczy się pilnie w stolarskim warsztacie,  
A ja służę we dworze, ceniąc coraz lepiej  
Dobrodziejkę, co razem z ciałem duszę krzepi.

EWA (*poważnie*).

Wszyscy wielbić ją muszą za szlachetne czyny!...

(*po chwili! zwracając się do Kasi*).

Nie dziw więc, że pragniemy te jej imieniny  
Uczcić jakoś inaczej.

EMILKA (*z prośbą*).

Radź nam!

EWA (*podobnie*).

Znasz ją dłużej.

KASIA (*po namyśle*).

Niech nauka, mnie dana, panią kom posłuży.

(*po chwili*).

Gdy mi pani raz pierwszy spłaciła zasługi.  
Rozbeczałam się na głos z radości!.. Czas długi  
Patrząc na mnie, rzuciła mi wreszcie pytanie:  
„Cóż za to kupisz, Kasiu”?

-- Matuchnie wiązanie!

„Dobrze! ale o jakim też myślisz podarku”?

— Kupię śliczną, wełnianą chustkę na jarmarku!  
„Porządna aż sześć rubli kosztuje”.

— Tak wiele!

„Nie martw się, Kasiu, chętnie rady ci udzielę.  
„Kupisz wełnę, uprzedzisz i z tego przedziwa  
„Zrobisz kołdrę na drutach. To będzie prawdziwa  
„Ofiara, bo nikt do niej nie przyłoży ręki”!  
Spojrzałam na nią wzrokiem tak szczerzej podziękuję,  
Że się aż uśmiechnęła. Z niezmierną ochotą  
Zajął się tym kupnem i całą robotą,  
A pragnąc swą pilnością zwiększyć radość matki,  
Uczyłam się na pamięć wiersza!.. Wiersz był gładki,  
Dał mi go organista! ku wszystkich zabawie  
Powtarzałam go ciągle, we śnie i na jawie,  
Nawet w dzień świętej Anki, gdy mię nosły skrzy-

[dła

Do chaty, w drodze jeszcze szeptałam wierszydła!  
Lecz gdy stanęłam w progu, dziwna jakaś siła  
Do bezwładnych nóg matki nagle mnie rzuciła;  
Przyłgnęłam do nich usta, oblałam je łzami,  
Przytuliłam do piersi: „Żyj najdłużej z nami,  
„Matko moja najdroższa”! szepnęłam gorąco.  
Pochyliła się ku mnie, kreśląc dłonią drżącą  
Krzyżyk nad moją głową: „Dobre z ciebie dziecko,  
„Radość, którą mi sprawiasz, przedłuży mi życie”!  
Całowałam jej ręce, usta, włosy siwe  
I, tuląc się do siebie, byłymy szczęśliwi!..  
Gdym nareszcie po kołdrę wróciła do progu,  
Pani mi ją podała. „Dziękuj, matko, Bogu,  
„Ze ci pozwolił dożyć tak radosnej chwili!..  
„Gdzie się rozum potyka, serce się nie myli:  
„Pierwszy dar, pierwszy pieniądz, córka matce

[święci.

„Wywietrzały ci, Kasiu, wierszyki z pamięci,  
„Bo nigdy, w najpiękniejszym nawet cudzém sło-

[wie,

„Serce prawdziwych uczuć swoich nie wypowie”!

EWA (*poważnie*).

Dziękujemy ci, Kasiu, to opowiadanie  
Na całe mi już życie za naukę stanie!

(*po głębokim namyśle*).

Dla tego babcia naszych podarków nie ceni,  
Że grosz na nie z ojcowskiej czerpiemy kieszeni.

EMILKA.

O własnych tedy siłach spróbować należy.

EWA (*z radością*).

Słuchajcie!.. Mamy mnóstwo zużytej odzieży,  
Wszystko to, własną przez nas ręką przerobione,  
Zaopatrzy w ubranie babuni Ochroń.

EMILKA z IRENĄ.

Wybornie!..

KASIA.

To myśl zacna!

IRENA (*z postanowieniem*).

Nauczę pacierza

Baśkę!

EMILKA (*żywo*).

Ja Franka czytać!

KASIA (*z radością*).

Miarka się domierza!

EWA.

A ja szyć Teofilę.

EMILKA.

Uwieńczę naradę!..

(*wszystkie zwracają się do niej*).

Każda z nas, drogie siostry, ma wybitną wadę;  
Dla miłości babuni niech się z nią wyleczy!..

IRENA (*żywo*).

Przestanę się mazgać!

EWA (*podobnie*).

Będę chować rzeczy!..

EMILKA (*podobnie*).

Wyrzekam się hardości!..

KASIA (*dobitnie*).

Szczerłość szczerolęta!

EMILKA (*zartabliwie*).

Byle wytrwałość była taką, jak ochota!

EWA.

Przestrzegajmy się wzajem.

EMILKA (*j. w.*).

Utoneń w pokorze!..

KASIA.

Tak dobrym, jak te, chęciom — Pan Bóg dopomoże!

IRENA (*wskazując na zeszyt*).

A cóż będzie z tą prozą?..

EMILKA (z żartobliwą powagą).

Ireno czcigodna!

Kielich ziemskiej goryczy wychylimy do dna!...  
Nauczymy się tego, pełniąc ojca wolę,  
Lecz pannie Salomei wydamy to w szkole!...  
Tam szanujmy Francuza, Niemca i Anglika  
Lecz gdzie serce przemawia, milknie polityka!...

(z uczuciem)

Z dziada, pradziada Polki, w dniu babci imienia,  
Złożymy jój serdeczne — po polsku życzenia!...

N. Sokołowska.

## KOBYŁKA.

Rycina nasza przedstawia miejscowość mało znaną, jakkolwiek bliską Warszawy, bo o parę mil tylko odległą, słynną pięknym kościołem, wzniesionym na wzór kościoła Ś-go Pawła w Rzymie przez biskupa Marcina Załuskiego w 1740 r. za Stanisława Augusta. Sławę Kobylki podnosiła jeszcze wielka fabryka pasamoniczna, założona przez Paschalisa, w której tkano złotem, srebrem i jedwabiem wzorzyste pasy, używane do dawnego stroju, a dziś widziane już tylko gdzieniegdzie wpośród przyborów kościelnych, już to jako słupy ornatów, już jako tuwalnie.

## SPEŁNIONE ŚLUBY.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez M. . . a.

(Dalszy ciąg).

Hastings nie dał się podejść temu, co w istocie podejściem było obrachowanem na wywołanie bójki, zęby i pięście mu trzeszczały, tak je zaciskał gwałtownie, tłumiąc gniew, który mu dumną pierś rozsadał, lecz teraz musiał już się hamować dla własnej swojej przysięgi.

— Oto tchórz, nikczemnik! — krzyknął Ralf na zakończenie, gdy mu już tchu i wyrazów obelżywych zabrakło. A i Hastings czuł, że jemu także sił mogłoby zbraknąć na znoszenie obelg, więc żwawo, zamiast odpowiadać, zapytał, chcąc prędzej rzecz zakończyć:

— Zkąd ty weźmiesz wartość uzbrojenia dwudziestu mężów?

Na te słowa Ralf nagle, jak piorunem rażony, zapomniał butnego gniewu; załamał ręce i zapłakał, mówiąc żałośnie:

— O bogowie, bogowie! o wielki Odinie! któż

się mógł spodziewać, że będę musiał spełnić ślub mój tak prędko po jego ślubowaniu, zanim podobam zwalczyć choć dwudziestu mężów i posiadać ich uzbrojenie!

— Hańba nad wszelaką hańbą! na junaka wojownika, który ślubu bratniego nie spełni! — powiedział Hastings, jakby naigrawając się z Ralfa rozpaczy.

Ralf chwycił kij, przechodząc w jednej chwili z rozpaczy do szalonego gniewu:

— Milcz! — krzyknął — i znowu kij opuścił, spojrzawszy na założone na piersiach ręce nienawistnego przeciwnika.

Wtedy powiedział Hastings:

— Twój przyjaciele wszyscy ze mną utworzyli *towarzystwo* i mnie wybrali na wodza; napełnimy świat sławą naszą, a liczne kryjówki w tych skałach skarbami zdobytymi orężem! przystań do nas, zaprzysięgnij naszą umowę, jak my wszyscy, a nie zadługo i ty zdobędziesz własnym twym orężem tyle i więcej skarbów, niż wedle przysięgi złożyc masz pod tym pagórkem. A w dodatku powiem ci, że będąc ciągle przy mnie, może jedynie takim sposobem zdołasz pochwyć jaką dziwną sposobność, w której dam ci się tak podbudzić do gniewu, że będziesz mógł w otwartym boju zabić mię i tak całkowicie dopiero ślub twój spełnić.

Na mowę tak dziwną, Mały Ralf szeroko jasne oczy roztworzył, wpatrując się w Hastingsa, który nawzajem z drwiącym znów na ustach uśmiechem zdawał się odgadywać myśli jego bystrzym spojrzeniem. Całe towarzystwo młodych Normandów stało tymczasem za wodzem, bacznie śledząc, na czem się skończy ta walka szczeroci z podejściem, jakie i oni, i Mały Ralf, zgadywali w słowach Hastingsa. Kto wie, czy w skutek uprzedzenia nie sądzili go oni nawet gorszym, niż był rzeczywiście, boć wiadomo, że i dziki tygrys ma przecież tkliwe uczucie dla swęj rodziny, więc może i Hastings naprawdę miał jakie serdeczniejsze uczucie dla Ralfa z powodu jego podobieństwa z maleńkim owym braciszkiem. Ralf pomyślał głęboko, lecz krótko:

— Przystaje, bo przystać muszę! — zawołał z rozpaczą — bo jakże inaczej potrafię tak napewno zdobyć wartość dwudziestu uzbrojeń, i jakże mogę nie przystać, skoro przyrzekłem matce nie odłączać się od mych towarzyszy? i jakże łatwiej potrafię skorzystać z okoliczności, aby cię zabić?

— To dobrze, to przysięgnijże na to wszystko, na co przysięgli twoi towarzysze! — chytrze a prędko rzekł Hastings. I biedny Mały Ralf z płaczem przysięgnął *na to, na co inni przysięgli*, nie rozpatrując wcale warunków ich umowy. A potem Hastings parsknął śmiechem, spojrzawszy po

Normandach z tryumfem i poskoczył po skałach, zręczny jak dziki kozieł, na szczyt najwyższy ponad swém mieszkaniem, z kądem wypatrywał *ryby* nadpływające do jego sieci, jak sam się o tém wyrażał. Odchodząc, krzyknął do towarzyszków:

— A zapoznacie tam małego z warunkami, na które przysiągł.

Co gdy uczyniono, Ralf o mało nie oszalał znów z gniewu, spostrzegłszy, że wpadł w zasadzkę, której się obawiał, bo przysiągł *nie wszczynać zwady i nie dawać powodu do niezgody*, on, który po to jedynie przy Hastingsie zgodził się pozostać, aby prędzej wszcząć zwadę i znaleźć sposób pobudzenia go do gniewu. A trzeba pamiętać, że przysięga była świętością, z którą nie żartowano.

— Jak mogliście mię nie ostrzedz! — wołał Mały Ralf.

— A cóż mieliśmy zrobić, kiedy sami jużśmy przysięgli, zapomniawszy o tobie i o przyrzeczeniu daném matkom naszym? — odpowiedzieli Normanowie. — Chytry Hastings otumaniał nas, aby ciebie mieć zawsze tuż przy swoim boku, dla tego właśnie, że tak najłatwiej się ciebie ustrzeże, pilnując cię ciągle. Teraz dopiero rozumiemy dobrze jego podstęp!

— Chytry syn Popiela, chytręgo truciciela, umiał nas wszystkich otumanić! — powiedział nareszcie Mały Ralf — co się stało, nie odstanie się, przysięga moja niezłomna, ponieważ jest przysięgą, a ślub niezłomny także, ponieważ jest ślubem; jedno i drugie dopełnione będzie! Niechaj mi wielki Odin pomaga! Hastings musi zginąć z méj ręki w otwartym boju; skarby wartości dwudziestu uzbrojeń najdzielniejszych mężów muszą być złożone pod tym pagórkiem, i będą!

— Tak — rzekli towarzysze — ale niezłomnemi są także ślub i przysięga potrójna Hastingsa, że ty musisz go pokochać i ślub braterstwa z nim zawrzeć, choćby na godzinę przed jego skonem; ciekawa rzecz, jak to będzie?... a przecież być musi!

## II.

Od poprzednich wydarzeń minęło lat cztery. Przeszły one prawie bez zmiany nad ubogą, wiecznie trapiącą głodem Skandynawią. Matki, ledwo oplakawszy synów wydalonych z kraju na zawsze, skazanych na szukanie chleba po świecie, oplakiwać już znowu zaczynały innych dorastających synów, nowe przyszłe *ofiary wiosenne*, z których za rok los miał znów wybrać wygnanców.

Ale na morzach, oblewających południowe brzegi Skandynawii i północne Pomorza, zasianych wyspami Danów, a nawet i na dalszych mo-

rzach, na wschód i południe Brytanii, i u wybrzeży ziemi Franków, tam dużo zmian zaszło przez te cztery lata. Najważniejszą i główną z nich było straszliwe rozbójnictwo, które ze zwykłych dorywczych rozbojów, zmieniło się w jakąś stale i porządnie uorganizowaną wojnę przeciw wszystkiemu, co tchnęło spokojnym handlem, lub domowym spokojem, cichego, pracowitego żywota. Przed czterema laty obawiano się zapuszczać pomiędzy rozbójnicze wyspy Danów, a teraz obawa rozciągnęła się już na wszystkie wymienione morza, i nikt zamieszkały na ich wybrzeżach lub na wybrzeżach rzek, do nich wpadających, nie był pewien dnia, ani godziny, przed napaścią strasznej jakiejś, nowo-powstałej, rozbójniczej potęgi.

Jak od wieków, krążyły między żeglarzami przeróżne podania o strasznych morskich potworach, których nikt nigdy przecież na żywe oczy nie widział, ponieważ po spotkaniu z niemi nikt żywy nie pozostał, tak samo w owęj epoce, snuć się zaczęły okropne wieści o rozbójniczym okręcie potwornym i potwornymi napełnionym ludźmi, który wszędzie roznosił nieszczęście i rozpacz, lecz którego nikt żyjący nie widział, ponieważ dość go było ujrzeć, by zginąć. Wprawdzie w takim razie, dziwne to było, z kądem powstawać mogły wieści o tém, czego nikt opowiadający nie widział; ale to nie obchodziło nikogo.

Powiadano tedy, że dziwny ten, w kształcie strasznej ryby zbudowany statek, miał też skrzela i ogon jak ryba, i rybim prawdziwym pływał sposobem, tylko z tą różnicą, że zwinnością i chyżością wszelkie ryby przechodził. Ludzi ani wioseł nie było widać tam wcale, gdyż rozbójnicy skryci byli we wnętrzu olbrzymiej ryby, i wypadali zeń dopiero, aby się rzucić na zdobycz. Ze łba tej ryby-okrętu, wedle opowiadań, wytryskiwał potężny strumień wody, tak, jak u wielorybów, tylko bez porównania potężniejszy, a tak urządzone, że za podmuchem wiatru, szeroki ten płat wody służył za żagiel... Ku czemu, wedle potrzeby, służył także i podniesiony w górę ogon czarny tej ryby, okrętu.

Ale wszystko to niczém było w porównaniu z kapitanem tego potwornego statku, gdyż kapitanem był już rzeczywisty potwór, okropny wilkołak, niegdyś człowiek, któremu straszne jakieś, czarnoksiężkie zaklęcie, wilczy łeb(\*) na olbrzymie bary wsadziło. Ten-to człowiek-zwierz nieod-

(\*) Wyraz *warg* znaczył *wilka*, zwierzę drapieżne, jakim zwyczajnie bywał każdy wygnaniec. Ze względu na tę niezabudną konieczność, przeszła ta nazwa zwierzęca w terminologią praw skandynawskich, w których zamiast *obcość kogoś banitą*, mówiono: *wsadzić komuś łeb wilczy*.



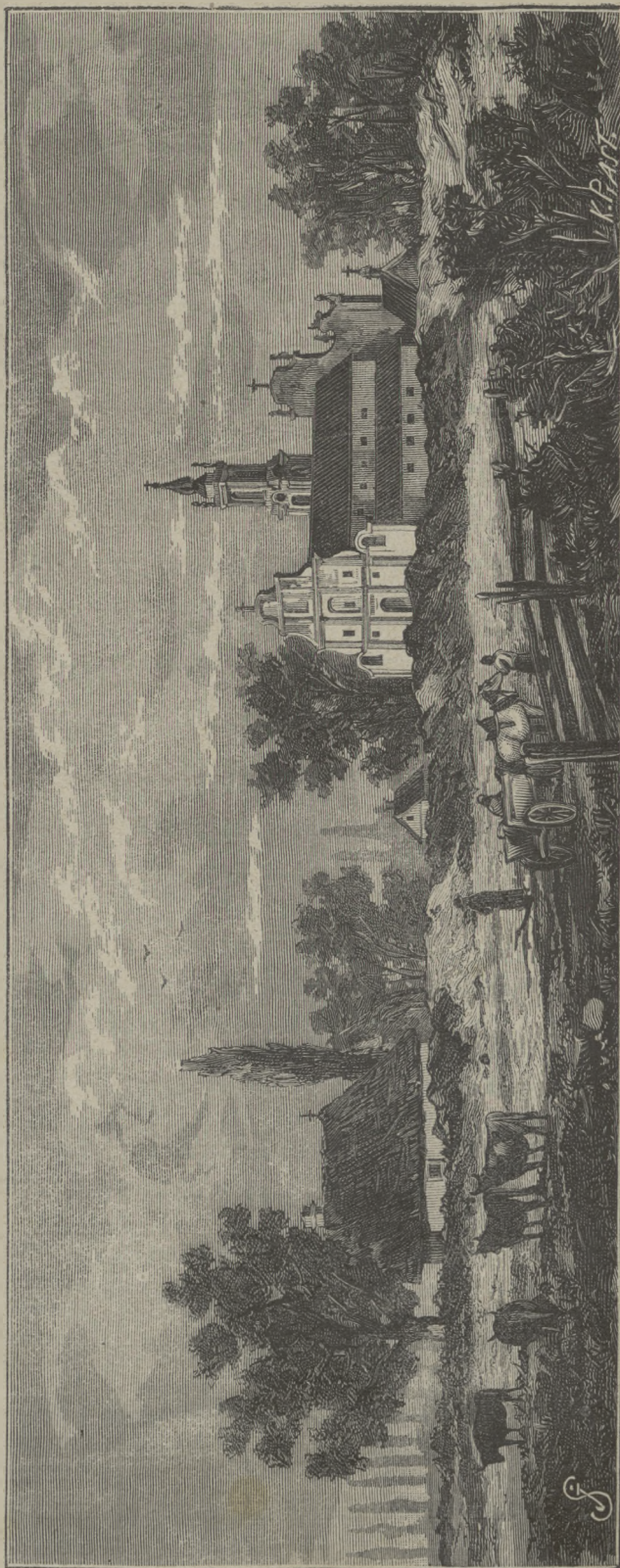
stępny był na pokładzie, jakby przyrósł do łba swego potworu-okrętu; na nim kierował, na jego wycie straszliwe zjawiała się dopiero załoga, a jego przerażające spojrzenie zabijało nieszczęsnych, na których padło, zabijało zarówno gwałtownie, jak i miecz jego sążnisty, w wilczej błyskający łapie. Po wszystkich morzach w owęj okolicy i wszystkich wybrzeżach, gdzie tylko choćby dwóch marynarzy zebrało się na gwęgę, już niechybnie imię okrutnego *Warga* było na ich ustach: *Warg* znaczy *wilk* w normandzkim języku, i dla tego mianowano tym wyrazem straszego wilkołaka, dowodzącego rozbójniczym okrętem, jakie w ogóle bywały normandzkie i wypływały z gniazda rozbójnictwa, z wiecznie głodnej Skandynawii, roznosząc postrach i nieszczęście po całej Europie.

Nic tedy dziwnego, że nie o czém, tylko o tym *Wargu* rozprawiano długo i szeroko pewnego ciemnego wieczoru, a raczej pewnej nocy, w dużej gospodzie, zwanęj *pod Wielorybem*, pełnej ludu marynarskiego, na przedmiejskiem wybrzeżu, koło Hamburga. Okręt kupiecki, imienia *Hamburg*, doskonale uzbrojony a bogato ładowny, miał o świcie wyruszyć z handlowego portu w daleką drogę, do ziemi Italów; był już gotów zupełnie, a załoga, pokończywszy wszelkie przygotowania, otrzymała pozwolenie od dowódcy przepędzić wesoło ostatni wieczór na lądzie, aby tém raźniej puścić się w podróż o świcie.

Jeżeli każdy i zawsze nie pewien jest swego jutra, to marynarz stokroć mniej go jest pewnym. I dla tego też niema szalenie weselszych ludzi nad marynarzy, gdy mają swobodną chwilkę na lądzie. Zdaje się, jakby pragnęli korzystać z każdej chwili czasu, który co sekunda może dla nich przestać istnieć... A jeżeli tak dziś jest i zawsze było, to nigdy może bardziej to się uczuwać nie dawało, niż w czasach i okolicach, o jakich obecnie wspominaemy. Morza owe, zawsze niebezpieczne, stały się podczas plądrowania owego *Warga* tak bardzo niebezpieczne, że wyruszać z bogatym zwłaszcza ładunkiem na morze, znaczyło to tyleż, co zostać skazanym na śmierć.

Ale, że mimo to nie mógł przecież ustać handel, który jest jednym z pierwszych i najkonieczniejszych warunków rozwoju lu-

rabiać, choćby z narażeniem życia, przeto żeglowały zawsze okręty i w owe niebezpieczne czasy,



K o b y ł k a (str. 679).

tylko koszta przewozu morzem się zwiększyły nad wszelki wyraz. Bogaci kupcy przepłacali stokrotnie

odważnych i dzielnych ludzi, którzy podejmowali się przewozić towary morzem, a ci ludzie targowali się ogromnie, ale chętnie korzystali ze sposobności dużego zarobku, który prawie zawsze starali się otrzymać naprzód, aby oddawszy go swój rodzinie, i tak zabezpieczywszy ją na całe życie nawet od nędzy, stawić następnie z lekkim sercem własne życie na kartę. Choć ta karta przegrywała pospolicie dwa razy na trzy.

Wypływając w podróż w takich okolicznościach, trzeba było, chcąc się ustrzedz rozpaczy, udawać wesołość tak serdecznie, żeby aż się odurzyć i na prawdę rozweselić, o czém dobrze wiedzieli dowódcy okrętów; sami też zachęcali do wesołości załogę i dodawali jej pieniędzy na hulankę. Chodziło im bowiem o utrzymanie ochoczego ducha w tej załodze, na czém niezmiernie wiele zależy.

I dla takich to powodów, owego ciemnego i wietrznego wieczoru było tak gwarno i wesoło w gospodzie marynarskiej pod Wielorybem. Kufle i miarki szczękały, majtkowie śpiewali, przytupywali, krzyczeli. Imię Warga dawało się słyszeć co chwila, ale zawsze z pogroźką jaką. Słuchając tego, każdyby sądził, że nikt go tam nie miał za hetkę-pętelkę, i że żadne nie istnieje na morzach niebezpieczeństwo.

— Hej ha! — krzyknął jeden marynarz, uderzając w stół próżnym glinianym kuflem tak mocno, że ten się w drobne kawałki z trzaskiem rozleciał — cóż to, czy to ja jestem ułomek jaki, lub niczadara! i owszem, radbym chwycić za uszy tego Warga! Niech nas spotka! Ciekawym kto kogo poturbuje! Niechbym też raz spotkał kogoś, ktoby wart był mojej ręki! A jego oczy? A mnie co do jego oczu? Nim on na mnie spojrzy, już ja go wprzód za gardło łap! i ścisnę! a jak ścisnę, to już on pewno, choć oczy wytrzeszczy, to mnie niemi nie zabije! oj nie!

Domawiając tych wyrazów, majtek jakby chciał kropkę dodać do swego zdania, uderzył znów, już nie kuflem, lecz pięścią, tak silnie w róg potężnego dębowego stołu, że róg ten z suchym trzaskiem opadł na ziemię.

— Dzielnny Andrews! — Oto łapa! — Chwat chłopak! — Górá Andrews!

Takie huczne okrzyki zawrzały w wielkiej izbie, wraz ze zdwojonym szczękiem, brzękiem i tupaniem; ktoś zaimprovizował, a wszyscy zaraz powtórzyli, na poddaną nutę, taką śpiewkę chórem:

Oto Andrews! oto chwát!

Oto łapa! oto brat!

Niech się strzeże jespán Warg,

By tą łapą nie wziął w kark!

Bo jak weźmie jeden raz,

To go porwie licho wraz!

Stare, ale potężnej budowy domostwo, zatrzęsło się od wrzasku i łomotu, który jakby na wiwat, nastąpił po tej ochoczej śpiewce; a jednak ponad całym tym hukiem górował w tejsze chwili głos ostry i jakby przeszywający:

— Jeszcze jedna półbeczulka! na spotkanie z wilkołakiem! hej, gosposiu! ja funduję!

Na ten głos znany, wszyscy wraz z gosposią zwrócili się do fundującego; świeży półbeczek ulubionego napitku pojawił się natychmiast, i wśród spotęgowanej wrzawy ochoczej, ów improwizator, który pierwszą strofkę zanucił, zaśpiewał teraz drugą, na cześć fundującego, stojąc przed nim z kuflem olbrzymim w rękach, z akompaniamentem tupania i przy wtórowaniu wszystkich obecnych, co czyniło śpiewkę podobną do ryku burzy:

Niech fundator żyje nam!

Zabić się za niego dam!

Możny kupiec, szczodry pan,

Opiekunem biednych zwan!

Obaczycie, że on dwa

Jeszcze nam półbeczki da!

— Gosposiu! jeszcze dwa półbeczki tym dzielnym chłopcom! — krzyknął tenże sam głos, śniejący się przytém jakimś przesywającym dźwiękiem, a z drwiącym twarzy wyrazem. Ale nikt się tam owym zwykłym wyrazem twarzy bogatego kupca nie zakłopotał. Ostatni jego rozkaz podniósł ogólną uciechę do najwyższego możliwego stopnia wrzawy, wśród której kupiec ten, jak niepostrzeżony wszedł, tak i niepostrzeżony wyszedł z gospody.

Był to Halm, jeden z najbogatszych kupców hamburskich, jakkolwiek ukazywał się w Hamburgu bardzo rzadko, trzymając tylko zastępcę w składach swoich, a sam pilnując swych interesów po świecie, gdzie wiele jeszcze miał składów i sklepów. Znany był ze szczodrobliwości dla ubóstwa i uwielbiany od marynarzy, którym doskonale płacił, dając zawsze pożądany zarobek, jakkolwiek bardzo często i jego ładunek przepadał wraz z innemi. Sam on jeździł jednakże najwięcej ładem, unikając narażania się, co każdy rozumiał. Zjawienie się jego w gospodzie pod Wielorybem bardzo było naturalne, bo i on miał część swego mienia na pokładzie okrętu, mającego odpłynąć o świecie, chciał więc być przy tém obecnym, co się rzadko zdarzało, a dowodziło ważności ładunku. Skutkiem tego nawet, o czém z góry wiedziano,

kilku najmoźniejszych kupców ważne ładunki powierzyło temuż okrętowi, bo taki okręt największe jeszcze miał za sobą prawdopodobieństwo szczęśliwej podróży, gdyż załogę jego stanowili najdzielniejsi z dzielnych marynarzy, zbiegający się na usługi szcudrobliwego i kochanego pana Halma.

(D. c. n.).

## Listy z Podola i Odesy.

Poswięcone pilnej i roztropnej Marylee,

przez Waleryą Stacherską.

(Dalszy ciąg).

### LIST II.

Moja kochana Marylko!

Tyle dzisiaj zajmujących rzeczy widziałam, że nie wiem, od czego zacząć i z czego ci najpierw zdać sprawę. Wczoraj dowiedzieliśmy się, że do portu zagranicznego zawinął okręt z Chin i przywiózł z sobą mnóstwo pięknych i wytwornych towarów. Chęć zobaczenia tych osobliwości opanowała mnie na dobre, bo statki te, które przybywają z państwa Niebieskiego, mieszczą w sobie niewyczerpane źródło ciekawych i nieznanych nam przedmiotów. Pewność ta podsycala moją ciekawość i nasuwała wyobraźni ponętne obrazy, które chciałam obejrzyć w rzeczywistości. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, życzenie to spełniło się i jak zobaczysz poniżej, zaspokoilo moje oczekiwania w zupełności.

Pojechaliśmy w licznym towarzystwie do portu zagranicznego, gdzie ten statek stał na kotwicy. Jedna z ulic, prawie nad samym już portem, nazwana ulicą Polską, dziwne na mnie wywarła wrażenie. Ludność w niej najdziwniejsza i najrozmaitszej narodowości, a ponieważ była to niedziela, więc oddana hałaśliwej zabawie. Gromady mężczyzn, kobiet i dzieci, siedzących na słońcu przed sklepami i kramami, a wśród tego liczny zastęp majtków, którzy po trudach i niewygodach morskich używają tutaj swobody i zabawy. Spiewy ich rozlegają się daleko, szkoda tylko, że dzielni ci ludzie takim poniżającym nałogiem pozdrawiają ten ład, za którym tak nieraz tęsknią wśród niezmięconej przestrzeni oceanów. Wszyscy podochoceni, w kapeluszach na bakier, ująwszy się w kilku pod ramiona, zataczają się z jednego końca chodników na drugi, napełniając ulicę wrzawą i krzykami, które smutne we mnie budziły uczucia.

Statek, który zamierzaliśmy zwiedzić, nazywa się Petersburg. Wstąpiwszy na pokład, rozglądaliśmy się naokoło w chęci uproszenia kogo, by nas

po nim oprowadził. Wtém przybliża się ku nam młodzieniec w marynarskim stroju i oświadcza grzecznie po francuzku, że nam chętnie przewodniczyć będzie. Weszliśmy najpierw do salonu kapitana, z którego na chwilę przed naszym przybyciem usunięto ogromny ładunek herbaty, z Chin przywiezionej, nie był więc jeszcze uporządkowany. Przy bocznej ścianie stała skrzynia, napełniona samemi gałazkami koralowemi. Uczennica moja prosiła, bym jej wytłomaczyła, co to jest.

— Korale — odpowiedziałam,

— Tak, to są korale — powtórzył śpiewnym, litewskim akcentem nasz przewodnik.

Stałam obok niego i na odgłos tych kilku polskich wyrazów, wypowiedzianych na statku cudzoziemskim, przybywającym z Chin, doznałam tak serdecznej radości, że się zwróciłam ku niemu żywo i spostrzegłam dwoje czarnych pocziwych oczu, które z wyrazem uprzejmego zajęcia na nas spoglądały.

— A, państwo Polacy — wyrzekł — jak to szczęśliwie, że m spotkał rodaków; jestem na usługi.

To mówiąc, zaprowadził nas do swojej kajuty, którą śmiało możnaby nazwać zbiorem przeslicznych cacek, tyleśmy tutaj pięknych i wytwornych rzeczy widzieli. Z rozmowy dowiedzieliśmy się, że pan O. jest styrmanem tego statku, a zatem pierwszą osobą po kapitanie; on kieruje okrętem i trzyma w swoich ręku życie całej załogi okrętowej. Bardzo to zaszczytny obowiązek, ale trudny i ciężki, nie dający prawie chwili wytchnienia i zużywający bardzo prędko siły i zdrowie. Ciągłe wyteżanie oczu, nieustanny szum i ryk morskich fal; na które jest wystawiony, nuży i osłabia wzrok i słuch, na co się właśnie uskarża pan O. Rozpowiadając nam niektóre szczegóły ze swjej przeszłości, dodał, że w ósmym roku swego życia utracił rodziców i od tej pory był zostawiony własnym siłom. Jakże to pięknie świadczy o jego zdolnościach i charakterze, kiedy obecnie, nie mając lat trzydziestu, zdobył już sobie samodzielną pracę takie ważne stanowisko. Daj Boże, aby i w przyszłości tak mu się wiodło; wszyscy, którzyśmy go poznali, z serca mu tego życzymy. Mnie szczególnie zastanowiła prawdziwie wytworna grzeczność, pełna prostoty, z jaką się względem nas zachowywał. Rzadkie w obecnych czasach między młodzieżą zjawisko.

Wszyscy z ciekawością rozglądaliśmy się po kajucie pana O., a ja tak jej się dokładnie we wszystkich szczegółach przypatrywałam, żebym ją odrysować mogła. Nad wązkiem łóżkiem dwie półki z książkami, po większej części angielskimi, marynarskiej treści, w głowach łóżka krzyżyk za-

wieszony. Spostrzegłszy to doznałam prawdziwie radosnego uczucia, bo był to najlepszy dowód, że młody żeglarz, wśród dalekich i obcych stron, łączył się najsilniejszym węzłem modlitwy z krajem rodzinnym. Pomyślałam też sobie, jak pewnie nieraz wśród wichrów i szalejącej burzy, pacierz odmawiany w dzieciństwie z matką ciśnie mu się na usta i dodaje otuchy w tych strasznych chwilach grozy i niebezpieczeństwa, na które każdy marynarz jest narażony.

Ale wracam do opisu. Na półeczkach i stoliczkach mnóstwo kosztownych gracików: Dwa wielkie wazony chińskie, jak znawcy twierdzili wysokiej ceny, obok lichtarze chińskie ze świecami z wosku roślinnego, pomalowane w różne ozdobne kwiaty, filizanczki maleńkie do herbaty, wykładane perłową macią, precudne pudełka i puszki mozaikowe, nóż do papieru oprawny w skórę rekina, bardzo wytwornej roboty, hafty ładne wypukłym ścięciem robione, w dziwaczne desenie o świetnych barwach. Dziewczątkom najwięcej podobały się poduszeczki na szpilki, z atlasu różnokolorowego. Jedna z nich miała kształt rybki, średniej wielkości, haft naśladował łuskę rybią, skrzele ruchome różowawe ożywiały ten sztuczny figielek i wywoływały w dzieciach radosne uniesienia. Na bocznej ścianie wisiała zbroja z drucików czarnych żelaznych, które wydawały mi się nadzwyczaj delikatne, ale zaręczono mi, że pancerz ten jest bardzo mocny i stanowi dostateczną ochronę podczas potyczki.

Ściany kajuty przybrane były w wachlarze rozmaitego kształtu i wielkości; uprzejmy właściciel obdarzył każdą z nas takim wachlarzem, czém nam wielką przyjemność sprawił. Ja dostałam wachlarz z masy drzewnej, na którym wymalowana była z jednej strony dama chińska, z drugiej kwiaty; gwoździki różowe i liliowe, dzwonki z listkami zielonemi; w pośród tego jakieś zygzaki chińskie, które dla mnie pozostaną tajemnicą, bo ich odczytać nie potrafię. Wachlarz ten schowam sobie na pamiątkę tych przyjemnych chwil, które tutaj spędziłam. Między drobiazgami kosztowniejszemi był także pazur tygrysi, oprawny w złoto, jako brelok do zegarka; każdy z panów miał na niego ochotę; wielkie zęby piły, owego potwora morskiego, tak straszego dla marynarzy, budziły w nas także podziwienie. Panowie, zamiast wachlarzy, dostali pyszne cygara z wyspy Manilli.

Potém wyszliśmy na pokład, gdzie na drążkach kołysały się różne papugi; najpiękniejsza z nich była cała zielona z dziobkiem ceglastym, a druga biała z żółtym czubkiem, obiedwie trzepały się niecierpliwie i obracały w kółko. Dalej małpeczki rozmaitej wielkości i kształtu, przywią-

zane na sznurkach, wyprawiały różne skoki i grymasy. Jedna szczególnie zajęła nas bardzo i wzbudziła w dzieciach żądzę posiadania jęj, z powodu figla, którego ją wyuczono. Pocieszna ta małpka z pieśczośliwym ruchem wysuwała łapkę na powitanie, ścisnęła podaną sobie rękę, przymrużając oczki z wyrazem serdecznej poufałości, jakby chciała dać poznać, że jęj ta oznaka serdeczności jest przyjemną, potém przykładła czarną łapkę do swych ust i przesyłała pożegnalny całus. Dzieci śmiały się głośno z tych dowcipów, co ją wprawiało w dobry humor; wydała też kilka piskliwych głosów na znak radości.

Schodząc z pokładu dowiedzieliśmy się, że statek Petersburg będzie stał tylko kilka dni na kotwicy w porcie, a potém wyruszy na odszukanie okrętu Moskwy, który zabłąkał się na Oceanie Indyjskim. Dzienniki nadmieniy, że odnaleziono już kilka trupów, które morze na brzegi wyrzuciło, ale okrętu ani śladu. Jakże ciężką jest ta myśl, że prawdopodobnie kilkuset ludzi zginęło w tak okropny sposób, a jak bolesny obowiązek dla tych, którzy będą wysłani na odszukanie tych nieszczęśliwych rozbitków.

Gdyśmy już na ląd wysiedli i odjechali trochę od portu, doznałam zabawnej niespodzianki: wiatr silny zerwał mi kapelusz i uniósł wprost na morze; gdyby nie grzeczność jednego z panów, który pobiegł za nim i pochwyił, byłabym powróciła bez kapelusza do domu. Dziwne to czasem przypadki chodzą po ludziach, niektórzy np. tracą głowy, mnie zagrażała daleko mniejsza niedogodność, którą za pomocą kilkunastu rubli mogłabym była powetować; z témwszystkiém lepiej, że się tak nie stało, bo w Odesie załatwianie sprawunków, z powodu niesłychanej drożyzny, ogromne sumy pochłania.

Na zakończenie tego listu, na którego krótkość pewnie nie poskarżysz się, droga Marylko, dodam, że przed kilku dniami widziałam na ulicy murzyna; wracał z połowu od morza, z pęczkiem ryb uwiązanych na sznurku i przystanął na bulwarach przed wystawą kapeluszy. Przypatrywał się z niesłychaną ciekawością damskim stroikom, a nareszcie, zwróciwszy się do mnie, wskazał z uśmiechem na kapelusz z czerwonemi różami, dając mi giestem do zrozumienia, że ten jest najpiękniejszy, i że ten nabyć powinienam! Tymczasem ja nie uległam temu zachwytowi, cała moja uwaga zwrócona była na kapelusz męzki Panama, na którym przylepieno cenę 160 rubli; chyba towar ten będzie czekał na jakiego lorda angielskiego, który go nabędzie w chwili kaprysu. Młody murzyn odszedł, nie zwróciwszy zupełnie uwagi na ów wytworny kapelusz. Miał w uszach ogromne kolczyki, włosy

czarne kędzierzawe, wargi grube, niezmiernie czerwone. Czarne duże oczy połyskiwały roztrzęsionym wejrzeniem.

Bywaj zdrowa, droga Marylko, ściskam cię serdecznie, za kilka dni porozmawiamy znowu.

(D. c. n.).

## Przygody młodych podróżników

NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Niedarmo mówi przysłowie wschodnie, że konie arabskie mają u nóg skrzydła. Gromadka szybko przebyła wzgórza i wjechała do lasu dębowego. Tu już na każdym kroku napotymano wyraźne ślady przejścia dzików; wszędzie spostrzedz było można połamane gałęzie i jamki wygrzebane w ziemi.

— Oho! — mówił baszy-buzuk — cała trzoda musiała tu być niedawno, pewnie nie odbiegła jeszcze daleko.

Dwóch jeźdźców puściło się naprzód na zwiady. Derwisz-el-Eddin wojował niemało w Europie, nigdy jednak nie służył w wojsku regularnym, najczęściej brał udział w rabunku i podstępnych wycieczkach na nieprzyjaciela; możeby nie potrafił dowodzić oddziałem żołnierzy na polu bitwy, ale doskonale umiał się rozporządzić w takiej wyprawie myśliwskiej, gdzie więcej potrzeba śmiałości i zręczności, niż umiejętności wojskowej.

Wiedział on dobrze, iż zwierz nie napada nigdy przemagającej siły, tylko się trzyma na stanowisku odpornym, najwięcej też tego pilnował, aby myśliwi się nie rozpraszali, ale jechali zawsze blisko jeden przy drugim.

— Stójcie! — zawołał w końcu Derwisz-el-Eddin.

Zbliżano się do skraju lasu, gdzie spodziewano się napotkać dziki. Dowódzca wydał stosowne rozporządzenia. Ludzi, którzy psy prowadzili na smyczy, wysłał naprzód, za nimi, w pewnym oddaleniu, rozstawił strzelców rzędem pomiędzy drzewami.

Nagle ozwał się strzał i odgłos donośny rozbrzmiał po całym lesie.

— To nasi wysłańcy — rzekł Derwisz — dają znać, że widzieli zwierza. Wypuścić psy!

Tu powstał hałas i wrzask nie do opisania. Przerażliwe szczekanie wielkich maurytańskich chartów łączyło się z okrzykami Arabów i rżeniem koni. Kiedyniekiedy słyszeć się dawał chrzęst odgłosów łamiących się gałęzi, zwiastujący zbliżenie dzika. Konie, które go czuły węchem, zaczęły

wierzczać i wspinać się na tylne nogi, trzeba było całej siły i zręczności jeźdźców, ażeby je utrzymać. Już kilku strzelców spostrzegło dzika i strzeliło do niego, ale żaden nie trafił. Polowanie ożywiało się coraz więcej, ruch i zgiełk powstał w lasu.

Dzik jest nadzwyczaj zuchwały; afrykańskie zwłaszcza, silniejsze i większe od naszych, przed jednym lwem tylko uciekają. Człowieka nie obawiają się wcale i nawet strzały palnej broni nie wielkie na nich wywierają wrażenie. Nieraz zdarzało się, iż rozjuszony odyniec rzucał się na jeźdźca, zadawał mu cios śmiertelny jednem uderzeniem kłów potężnych, a drugim przebijał konia. Jednak, gdy ujrzy licznych strzelców, rozstawionych po lesie, pędzi prosto przed siebie, nie napadając żadnego i wściekłość swoją wywiera na krzakach, które łamie i wyrwa po drodze. Wówczas najłatwiej go dogonić, gdyż szamocąc się wśród gęstwiny, nie może tak szybko uciekać. Baszy-buzuk znał dobrze te zwyczaje dzika i liczył właśnie na nie.

— Nie rozpraszajcie się po lesie! — wołał Derwisz-el-Eddin — a miejcie się na baczności!

Zapał ogarnął myśliwych, wszyscy gonili zawzięcie za dzikiem, raz po raz odzywało się głuche chrząkanie zwierza, strzały padały szybko jeden po drugim. Wtém nagle dały się słyszeć jęki przeraźliwe, można było odróżnić głos człowieka i psa.

— Dzik zranił strzelca w prawe ramię i zakłócił psa! — wołali jeźdźcy.

Zbiegli się wszyscy, w rzeczy samej chart leżał na ziemi, brocząc we krwi, Arab stał wsparty o drzewo, trzymając konia za cugle; rana jego nie była niebezpieczna, ale nie mógł już polować.

Dzik uszedł cało, dostał tylko kopytem konia po pysku, więc się odwrócił i popędził dalej.

— Trzeba go wyprzeć z lasu! — zawołał Derwisz-el-Eddin — choćby miał wpaść w zboża. Tu w gęstwinie rady mu nie damy, łatwiejsza będzie sprawa w otwartym polu.

Teraz więc nasi myśliwi wszelkich usiłowań dokładali, aby dzika wywabić z gęstwiny i z lasu wypędzić. Z kwandrans upłynął na tych obrotach, jeźdźcy uwijali się na wszystkie strony, psy ujadaly, był to zamęt straszliwy; w końcu dzik musiał ustąpić z placu i wypłoszony z leśnej swój kryjówki, przedzierał się szybko przez gąszcze.

Baszy-buzuk liczył na to, że wśród zboża najłatwiej go będzie pokonać.

Młodzi nasi Europejczycy z rozkazu dowódcy trzymali się przy samym brzegu lasu. Było to miejsce najmniej niebezpieczne, póki dzik ukrywał się w gęstwinie, teraz przeciwnie stało się naj-

niebezpieczniejszém. Jakób to spostrzegł i radził żeby się trochę cofnęli.

— Nie bójże się, stary przyjacielu — mówił Robert — wszak mamy broń w ręku.

Zaledwie młodzieniec wymówił te słowa, gdy chrząkanie straszego zwierza odezwało się w pobliżu i prawie w tej samej chwili ukazała się straszna jego głowa, małe oczki krwią nabiegłe błyszcząły, jak dwa rozżarzone węgle. Na ten widok, koń Roberta, który już od chwil kilku nadzwyczajny okazywał niepokój, zarżał silnie i stanął dęba. Młodzieniec ściągnął cugle i ścisnął go mocno kolanami.

— Ej, młody Francuzie! — zawołał Derwisz-el-Eddin — strzeż się, a mierz dobrze, bo zginiesz niechybnie. Robert nie zrozumiał tych słów, wymówionych po arabsku, ale nie potrzebował preostrog, bo sam spostrzegł grożące niebezpieczeństwo. Dzik rzucił się wprost na jego wierzchowca i usiłował go za gardło pochwycić.

Młodzieniec ani drgnął. W olstrach swego siodła miał on dwa pistolety nabite, wyjął z nich jeden i pewną ręką wypalił cały nabój w samo ucho potwornego zwierza.

Straszliwe, ostatnie chrząknięcie dało się słyszeć w tej chwili, dzik przewrócił się na piasku, nurzając się we krwi własnej.

Mysliwska ta gromadka nie miała trąbki, której Arabowie nie używają, ale przeciągłe okrzyki jeźdźców ogłosiły bohaterki czyn młodzieńca, przycém, na znak zapału i uwielbienia, wszyscy podrzucali w górę strzelby, wołając w niebogłosy:

— Chwała dzielnemu Francuzowi!

Jakób nie posiadał się z radości.

— Robercie — rzekł Henryk — gdybyś był spudłował, ja trzymałem w pogotowiu mój wielki nóż myśliwski; dzik nie miałby czasu cię dotknąć.

Ułożono zabitego dzika na wózeczk, na którym jeden Arab wiozł zapasy żywności za myśliwymi, i mała gromadka skierowała się z powrotem do obozu.

— Pyszne polowanie! — rzekł Marek, dojeżdżając do namiotów — szkoda tylko, żeśmy nie jeździli na wielbłądach.

— Dajże już pokój; z temi wielbłądami — mówił Henryk śmiejąc się — zobaczysz je przecież, nie dziś to jutro.

Wielka była radość w całym obozie na widok ogromnego zabitego dzika. Imię Roberta od ust do ust przechodziło; Arabowie uwielbiają odwagę i młodzieniec od razu urósł w ich oczach na bohatera.

— Młody Francuzie — rzekł Abdallah — ten

dzik, pokonany przez ciebie, jest twoją własnością. Co chcesz z nim zrobić?

Jakób szepnął mu, aby nie odmawiał, gdyż obraziłby Arabów, więc Robert oświadczył, że chciałby przesłać dzika w darze kapitanowi okrętu Kormoranu. Był to pomysł wyborny.

— Dość już wypoczynku — rzekł dnia następnego Jakób, do młodych swoich towarzyszy — jutro puszczamy się w drogę. Nie zapominajmy, że nusimy zwiedzić Afrykę północną, aż do granic Maroku.

Nazajutrz podróżnicy nasi pożegnali się z szejkiem i całym gościnnym plemieniem Beni-Usem. Abdallah-Ben-Daud, wielce poważany w całym kraju, dał im na drogę rodzaj listu polecającego, pisanego na pergaminie, i upewnił, że wszędzie za ukazaniem go znajdą najlepsze przyjęcie u plemion okolicznych.

Jakób nie zapominał ani na chwilę, że głównym celem podróży było wykształcenie Roberta.

Na każdym kroku starał się zwracać jego uwagę na wszystko, co widział w tym kraju, tak różnym od naszych stref północnych. Minawszy rozkoszną krainę Sahel, przebywali podróżnicy nasi inne okolice, mniej bogato uposażone, ale zawsze piękne i malownicze. Kiedyniekiedy odgłos bębna lub trąbki bojowej przerywał milczenie, a z gaju oliwnego wysuwał się oddział francuzkich żołnierzy, powracających z jakiejś utarczki z buntowniczymi plemionami. Podróżnicy witali ich po wojskowemu, przykładając palce do czoła.

Im dalej postępowali w głąb kraju, tém więcej krajobraz się zmieniał. Grunt jest tu w części gliniasty, a w części piaszczysty, zawsze jednak dość żyzny, byle go deszcze skropiły w porze właściwej. Ale jeśli susza potrwa dłużej, zielone łąki i pola zamieniają się w dziką, spiekłą pustynią.

Miasta należące do Francyi, Blidah, Medea, Biskra, Konstantyna, Tlemcen, Oran, otoczone są pięknymi oazami, jakby wieńcem zieleni. Okolice ich przedstawiają piękne widoki, malownicze krajobrazy, na widnokregu, odsłoniętym szeroko, widnieją wszędzie rozległe równiny, urozmaicone gdziegdzie zielonemi wzgórzami i kępami drzew owocowych.

Podróżnicy nasi daleko już byli od obozu Arabów, gdy Henryk pierwszy spostrzegł w oddaleniu dziwny przedmiot, którego dokładnie określić nie umiał. Po środku równiny, ogołoconej z wszelkiej roślinności, leżały wielkie głazy, oderwane od skał pobliskich. Przyrząd, złożony z wielkich walców żelaznych, rozkruszał te kamienie, zamieniając je w mialki pył, zapewne na jakiś rodzaj cementu przeznaczony.

— Ale jakimże sposobem te walce się poruszają? — zapytał Robert.

— Obaczmy to niezadługo, jak się nieco zbliżymy — odrzekł Jakób.

Podróżnicy przyspieszyli kroku i okrzyk jednogłośny, z wesołym śmiechem połączony, powitał niespodziewany widok, który się oczom ich przedstawił.

— Wielbłąd! — zawołali wszyscy.

W rzeczy samój poczciwe i pożyteczne to zwierzę obracało wielkie koło, które rozdrabiało kamienie i zarazem ciągnęło wodę ze studni.

— Doczekałem się nareszcie! — rzekł Marek zachwycony — spełniły się więc najgorętsze moje życzenia, ujrzałem na własne oczy okręt pustyni, zwierzę, które już na niewidziane polubiłem. Pokazuje się, że na tym świecie trzeba tylko cierpliwości, a do wszystkiego jakoś powoli dojść można. Oto więc jest prawdziwy wielbłąd!

Wkrótce zbliżyli się zupełnie i Marek mógł się nacieszyć upragnionym widokiem do woli.

— Niestety! — mówił chłopak, który nie opuszczał żadnej sposobności, aby się swojemi konceptami popisać — Niestety, cóż z tobą zrobili, biedaku! Zamiast wędrować w świat daleki wśród piasków pustyni, musisz się kręcić na jednem miejscu, jak maszyna. Żal mi ciebie serdecznie, nieszczęśliwy wielbłądzie, ofiaro przemysłu! Przyjmij zapewnienie mojego współczucia i życzliwości najszczerzej.

Mówiąc to, chłopak głaskał łagodne zwierzę i podał mu parę gałązek zielonych, które wielbłąd obgryzł z widocznym zadowoleniem.

Podróżnicy puścili się w dalszą drogę. I znów roztaczały się przed nimi piękne, wesołe obrazy. Mijali po drodze osady większe i mniejsze, wioski zabudowane białymi domkami, miasteczka minaretami ozdobione, miasta handlowe z pięknymi bazarami, na których kupcy europejscy spotykają się z karawanami, przybywającymi z głębi Sudanu.

W dwadzieścia pięć dni po wylądowaniu w Algierze, stanęli w mieście Bonie, niedaleko granicy Tunisu. Tu niegdyś więziony był znakomity pisarz hiszpański Cerwantes, autor sławnego Donki szota, gdy dostał się do niewoli korsarzy, którzy tym krajem dawniej władali. Miasto to jest bardzo starożytne, zachowało dotąd dużo pamiątek maurytańskich. Przechodząc przez przedmieście Karguantah, podróżnicy nasi zatrzymali się przed kawiarnią, mającą pozor bardziej europejski od innych podobnych zakładów. Dowiedzieli się później, że było to miejsce schadzki podróżników różnych narodowości.

— Wejźmy tu na chwilę — rzekł Jakób — może obaczmy co ciekawego.

Zbliżając się do wejścia kawiarni, usłyszeli tam hałas i ruch nadzwyczajny, zapytali przechodnia, co to było. Natrafili na Araba, umiejącego trochę po francuzku i ten im powiedział:

— Mnóstwo osób zbiegło się do ogrodu, gdzie jest w tej chwili sztukmistrz, który umie węże czarować. Jeżeliście tego jeszcze nigdy nie widzieli, radzę wam także tam zajrzeć, bo to rzecz nadzwyczaj ciekawa.

Nasi młodzieńcy, usłyszawszy to, spieszniej jeszcze wbiegli do kawiarni, a ztamtąd do ogrodu, gdzie ich czekał w rzeczy samój widok niezwykły i ciekawy.

Żaden z nich nie przypuszczał, aby w tej okolicy mógł spotkać się z czarowaniem węży, sądzili bowiem, według pospolitego mniemania, że sztukmistrze tego rodzaju znajdują się tylko w Indyach. Ale dowiedzieli się teraz z niemałym zdziwieniem, że w całej Berberyi, w Maroku, Tripoli, Tunisie i we wszystkich miastach algierskich, zbliżonych do granic tych krajów, pojawiają się często Maurowie, którzy hodują jadowite węże, dotykając ich bezkarnie, i różne sztuki z nimi pokazują. Lud miejscowy uważa ich za czarowników, ale ludzie mniej łatwowierni utrzymują, że to są oszuści, którzy zawsze wprzód wyrwają węzom jadowite gruczolki i wtenczas dopiero, gdy już niema żadnego niebezpieczeństwa, biorą je do ręki i uczą sztuk rozmaitych. Niektórzy krajowcy są przekonani, że tacy czarownicy nic innego nie jedzą, tylko węże, jaszczurki i inne płazy najobrzydliwsze.

Czarownik, którego nasi podróżnicy ujrzeli w ogrodzie kawiarni, z nadzwyczajną zręcznością wykonywał najdziwniejsze sztuki ze swoimi wychowañcami. Na głos jego węże wyprężały się, podnosiły długie cielska, wskakiwały mu na ramiona, okręcały mu się na szyi, a żaden go nie ukąsił.

— Szczególniejsze widowisko! — mówił Robert — trzeba być mieszkańcem Wschodu, aby mieć upodobania podobne. Widzę, jak wiele prawdy jest w przysłowiu: Co kraj to obyczaj.

Nazajutrz po przybyciu do Bony, podróżnicy otrzymali list z poczty, adresowany do Jakóba.

— Kormoran wkrótce już puszcza się w dalszą podróż — rzekł stary majtek, po odczytaniu listu — czas oznaczony przez kapitana upływa za dni pięć. Moglibyśmy śmiało dostać się w porę do Algieru, ale po co mamy się tak śpieszyć i z drogi zawracać? Kormoran ma się zatrzymać kolejno we wszystkich większych portach, teraz więc zarzuci kotwicę w Tunisie; napiszę natychmiast do kapitana, że nas tam zastanie; my drogą lądową przybędziemy na miejsce wcześniej od niego.

— Doskonale! — zawołali młodzieńcy którym szło tylko o to, ażeby coraz nowe kraje zwiedzać, i coraz nowe oglądać widoki. — Odpisz jaknajprędzej, drogi Jakóbie.

— Dobrze — odrzekł majtek — ale muszę wyznać, że mam rękę niezbyt wprawną do pisania listów; możebyś mię wyręczył, Robercie.

— O, z największą chęcią.

I młodzieniec napisał list następujący, podyktowany przez Jakóba:

„Szanowny Kapitanie!

„Wyruszamy na pieszą wędrowkę, zapuściliśmy się aż na morskie wybrzeże, jesteście obecnie w Bonie, bardzo niedaleko od Tunisu. Przybędziemy tam z pewnością na trzy dni przed Kormoranem i czekać będziemy na niego.

Zasylamy tysięczne ukłony i pozdrowienia całej załodze Kormoranu

najniższy sługa,

Jakób

Robert dodał od siebie *post scriptum*:

„Proszę uwiadomić wszystkich majtków okrętowych, że Marek obaczył już nakoniec wielbłąda”.

— A teraz w drogę do Tunisu.

(D. c. n.).

### S Z A R A D A (Różia D.).

Pierwsze trzecie: ptaszki nasze,  
Najpiękniejsze w ptaszem gronie;  
Strojne w błękit każde ptaszę,  
Grzbiet o jasnym cynamonie,

Lśni lazurem toaleta —  
Nogi żółte, dziobki krzywe —  
Żyją w lesie — bojaźliwe —  
Drugi: z innym ciałem zwity,  
Jest pierwiastkiem barw błękitu;  
Wszystko: autor znakomity,  
Autor Psalmów i Przedświtu —  
Wielki poeta!

### Łamigłówna głoskowa (E. K.).

k  
g  
k k  
a j ó  
n b k h  
t k u e g  
u b i a u a

Z tych liter rozsypanych ułożyć znane przyśłowice.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go.

Zadania konikowego:

Jestem córką cichęj wioski,  
Pasterki mię wychowały;  
Nie zaznałam żadnej troski,  
Przebiegając łąki, skały.  
Raz siadłam obok strumienia,  
Ubrawszy czoło kwiatami,  
Snułam po myśli marzenia  
Przyjemne, lubo ze łzami.

Kazimierz Brodziński (Muza).

### Z a g a d k i:

0	0	0	0	0	0
0	0	.	.	0	0
0	.	0	.	0	0
0	.	.	0	0	0
0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0

### Odpowiedzi od Redakcyi.

Maryni B. w Lublinie. Bardzo to dla nas szczęśliwie, że *interes* przynajmniej zmusił do pisania kochaną naszą korespondentkę, od której odbieraliśmy dawniej tak miłe liściki. Odpoczynek po pracy, zwłaszcza w porze letniej, nie może się nazywać zaniedbaniem. W kaligrafii w każdym razie nie znać zaniedbania; zawsze jest staranna i ładna, a odczytywanie podobnych liścików jest dla nas najprzyjemniejsze. Mamie dziękujemy za pamięć i ukłony zasylamy. Zagadkę historyczną zamieścimy niezadługo. Adres zmieniono według żądania.

Karolci Gr. w Łózków Rogu. Przepraszamy najmocniej za opóźnienie w wysłaniu książek, teraz już wyprawiona na pocztę. Co do zagadki, musimy się przyznać do winy, gdzieś nam się zapodziało... My także pocieszamy się nadzieją, że tak miła dla nas korespondencya nie może się przerwać, nawet... po dojściu do pełnoletności kochanej korespondentki.

Helci F. w Wólce. Nr. żądany wysyłamy powtórnie. Upewniamy jednak wszystkich prenumeratorów, że Pismo wysyłamy co tydzień najakuratniej, ale na nieszczęście często na pocztę N-ra się zarzucają. O nowych książkach dla młodego wieku napiszemy i w roku bieżącym, ale czekamy, aż się wszystkie wydawnictwa noworoczne ukażą w handlu księgarskim. Tymczasem możemy polecić świeżo wydaną dla dorastających panienek książkę, *Dziewczęce losy, przekład z angielskiego*, przez panią Dzieduszycką. Nazwisko szanownej tłómaczki jest dostateczną rękojmią wartości dzieła.

Adasiowi R. w Warszawie. Mamy nadzieję, że podróż, drukująca się obecnie w naszym Piśmie, zadowolni wszystkich czytelników. Nie braknie w niej przygód ciekawych, pryncypem jest pełną pożytecznych wiadomości. Mieli już czytelnicy podróże po różnych częściach świata, poczynszy od naszych swojskich Tatr, aż do puszczy afrykańskich i australijskich. Nie mogą więc uskarżać się na brak ciekawych podróży.

Pannie Waleryi St. w Sokotówce. Przesyłka odebrana serdecznie dziękujemy; przepraszamy bardzo, że Nr. żądany dopiero teraz odesłano. Wytlómaczymy się w liście.

Pani T. W. w Lublinie. Nra. żądane wysyłamy; ale czemuż to kochani nasi korespondenci tak się polelili i nie napisali sami? Liściki, zawsze tak staranne i miłe, wielką nam przyjemność sprawiają.